Recenzja Emily w Paryżu,

czyli zagrajmy we francuskie bingo!

Obejrzeliście kiedyś serial tak zły, że aż poczuliście potrzebę znalezienia czasopisma, dla którego moglibyście napisać pełną złośliwości recenzję? Nie? Też mi się to nigdy wcześniej nie zdarzyło, ale najwyraźniej zawsze musi być ten pierwszy raz, ponieważ dokładnie taką reakcję wywołał u mnie jeden z najnowszych hitów Netflixa – „Emily w Paryżu”.

Jest to opowieść o młodej, zatrudnionej w agencji marketingowej Amerykance, która niespodziewanie dostaje propozycję przeniesienia się do pracy do Paryża. Ofertę oczywiście przyjmuje, mimo nieznajomości języka i braku entuzjazmu ze strony swojego planującego pozostać w Chicago chłopaka, bo któż oparłby się pokusie zrobienia tylu perfekcyjnych zdjęć na Instagrama?. Jak można się domyślać, efektem jest sporo kłopotów wynikających między innymi z różnic kulturowych pomiędzy obydwoma krajami, o których szerzej napiszę w dalszej części recenzji.

Rzeczą, która najbardziej razi w „Emily w Paryżu”, są wszechobecne (głównie negatywne) stereotypy dotyczące Francuzów. Nie mówią oni po angielsku lub mimo znajomości języka odmawiają jego używania, wywyższają się na każdym kroku i nieustannie palą papierosy. Są leniwi, zaczynają pracę późno, kończą wcześnie, a jedną trzecią dnia spędzają na lunchu. Jak jedna z postaci tłumaczy głównej bohaterce – pozamałżeńskie romanse to norma, a koronkowa bielizna jako prezent dla nowo poznanej kobiety to nie powód do wywoływania afery. Typowo „francuskie” są także niektóre postaci: mamy zapalonego kucharza, niezwykle dramatycznego projektanta mody, właściciela marki perfum o seksistowskich poglądach, chodzącą w berecie pracowniczkę galerii sztuki, a nawet mieszkających w uroczym château właścicieli winnicy. Nic dziwnego, że serial zebrał we Francji słabe recenzje, a na YouTube można znaleźć wiele filmików nagranych przez oburzone młode Francuzki, które prostują zawarte w nim informacje.

Sam Paryż został potraktowany podobnie jak jego mieszkańcy: składa się przede wszystkim z wieży Eiffla, Panteonu, Luwru oraz nabrzeża i mostów na Sekwanie, przed/na których stoi bohaterka za każdym razem, gdy akurat ktoś do niej dzwoni lub dzieje się coś innego wartego pokazania na ekranie. Poza tym są jeszcze urocze kafejki, wytworne restauracje oraz wypełnione bagietkami i croissantami piekarnie. Można odnieść wrażenie, że twórcy postanowili zagrać we francuskie bingo, wypisując na kartce wszystkie swoje skojarzenia związane z tym krajem, a potem systematycznie dopisywali je do poszczególnych odcinków.

Nie myślcie jednak, że skoro serial powstał w USA, to występująca w nim w roli głównej Amerykanka będzie przedstawiona w mniej karykaturalny sposób. Nic bardziej mylnego. Emily charakteryzują, moim zdaniem, ignorancja i arogancja. Co prawda nieznajomość języka została wytłumaczona fabularnie, a kobieta stara się ten brak nadrobić, jednak moim zdaniem, nic nie usprawiedliwia braku choć podstawowego researchu na temat kultury i zwyczajów kraju, do którego się przeprowadza. Naprawdę nie potrzeba dużo czasu, aby przeczytać kilka pierwszych wyników w Google, które wyskoczą po wyszukaniu takich fraz jak „różnice kulturowe między USA a Francją” czy „top 10 rzeczy, które zaskoczą cię we Francji”. Przecież to wymagające minimalnego wysiłku przygotowanie oszczędziłoby Emily tak żenujących wpadek, jak mylenie pięter, złe odczytywanie dat i wspominanie przeliczania jednostek, jakby wymagało ono doktoratu z astrofizyki. Choć biorąc pod uwagę pewną sondę utraconą przez NASA właśnie z tego powodu, może nie jest to najszczęśliwsze porównanie. Poza tym kobieta okazuje się momentami natrętna i głośna, a nawet potrafi zrobić scenę w restauracji. To wszystko sprawia, że Emily bywa mocno irytująca i często bardziej utożsamiałam się ze śmiejącymi się z niej Europejczykami niż z biedną, zagubioną przybyszką zza oceanu.

Jeszcze jednym powodem do narzekań jest praca Emily, która w zasadzie ma niewiele wspólnego z prawdziwym zatrudnieniem. Czas dziewczyny w większości zajmuje podlizywanie się wrednej szefowej (na pewno nie mającej nic wspólnego z Mirandą Priestly z filmu „Diabeł ubiera się u Prady”), rozmowy ze standardowym komediowym duetem współpracowników, branie udziału w służbowych imprezach i wstawianie pojedynczego posta na Instagrama raz na kilka dni. Jednak mimo nienachalnego zaangażowania, Emily zawsze wszystko się udaje, nawet (a może szczególnie) gdy przeprowadza spotkania biznesowe w tak niestandardowych miejscach jak Opéra Garnier czy galeria sztuki.

Niezależnie od tego, czy podoba mi się (lub nie) fabuła, muszę przyznać jedną rzecz: ten serial jest śliczny. Śliczny jest Paryż, w którym najwyraźniej nie ma żadnych bezdomnych ludzi, imigrantów desperacko sprzedających malutkie wieże Eiffla i kupujących je turystów. Śliczni są bohaterowie (obu płci), śliczne są ich stroje i śliczne są brwi Lily Collins. Do tego nigdy nie pada deszcz (poza momentem, gdy odpowiada to nastrojowi bohaterki), a szpilki to najlepsze buty na paryski bruk. Stanowi to duży kontrast dla szarej, polskiej jesieni i pozwala niemal w pełni oderwać się od rzeczywistości. Eskapizm jak się patrzy.

W serialu ciekawa jest jedna rzecz, a mianowicie kwestia reprezentacji mniejszości. Jak zapewne wszyscy wiedzą, Netflix jest znany z obsadzania niebiałymi aktorami ról w filmach oraz serialach, w których, na przykład ze względu na okres historyczny czy lokację, ich obecność nie jest zbyt dobrze usprawiedliwiona. Szczególnie w Polsce często wywołuje to kontrowersje, czego dobrym przykładem może być uznany, według niektórych, za mało słowiański serial „Wiedźmin”. Jednak akcja „Emily w Paryżu” rozgrywa się w XXI wieku, w wielkim, bardzo niejednorodnym kulturowo mieście, co byłoby świetnym uzasadnieniem dla wprowadzenia zróżnicowanej obsady. No właśnie, byłoby… Serial „odhaczył” reprezentację, dodając jednego czarnoskórego współpracownika Emily i jej jedną przyjaciółkę pochodzącą z Chin (oraz jej pojawiające się w jednym odcinku kumpele). Uważam to za zmarnowany potencjał, ponieważ to jest właśnie ten serial, w którym można było dać szansę większej liczbie niebiałych aktorów i nikt nie mógłby się przyczepić, używając nieśmiertelnego „nie jestem rasistą, ale…”. W skrócie: Netflixie, robisz to źle!

Myślę, że poprzednie akapity nie zostawiają żadnych wątpliwości co do tego, że „Emily w Paryżu” to serial zbudowany głównie na stereotypach. Jednak czy automatycznie oznacza to, że pod żadnym pozorem nie należy go oglądać? Niekoniecznie. Jak to ładnie podsumowała moja koleżanka: „Czy to jeden z gorszych seriali, jakie widziałam? Czy pochłonęłam go w jeden wieczór? Czy z niecierpliwością czekam na kolejny sezon? Czy wszystkie powyższe odpowiedzi są poprawne? OWSZEM”. Biorąc pod uwagę obecną sytuację, zarówno epidemiologiczną jak i pogodową, nie dziwię się w żaden sposób popularności „Emily w Paryżu”, do której w końcu też się minimalnie przyczyniłam. Jest to rozrywka łatwa i przyjemna, niewymagająca myślenia, a w zamian dostarczająca miłe wrażenia estetyczne. Może być też dobrym czynnikiem integracyjnym, ponieważ nic nie zbliża tak, jak wspólne krytykowanie i śmianie się z kolejnych odcinków. Podsumowując: 2/10, polecam.